

Halina Birenbaum

Przeszłość, która nie chce umrzeć

Minęły lata odkąd napisałam swą książkę „Nadzieja umiera ostatnia”, o moich losach i losach moich bliskich w warszawskim getcie oraz w obozach zagłady niemieckich na Majdanku, Auschwitz i innych. Około dwa lata minęło już także, gdy poprosił mnie pewien ksiądz katolicki z Centrum Dialogu i Modlitwy w Oświęcimiu o napisanie skrótu swego świadectwa o tych zdarzeniach, do 10 stron w sposób jakim zazwyczaj opowiadam o nich młodzieży i dorosłym w różnych krajach...

Kiedy zasiadłam do pisania tej książki, bałam się, że nie będę w stanie objąć tego ogromu ludzi i zdarzeń, których doświadczyłam z bliska w latach Holocaustu, długich jak wieki, co spowodowało, iż nie przyłożyłam większej uwagi do zaznaczania imion ludzi, których opisywałam i opowiadałam o ich losach.

Ich charaktery, zachowanie się, reakcje w warunkach piekła tam, życie i śmierć tak wielu wydawały mi się nieporównalnie ważniejsze – bo, co powie ludziom samo imię nieznanego człowieka?! – myślałam. Dopełniłam jednak tego braku w skrócie swego świadectwa, w monografii opublikowanej w kilku językach w internecie, która musiałam pod wewnętrznym naciskiem wspomnień rozszerzyć podwójnie, ponad te 10 stron, o jakie mnie proszono.

Już dawno ulotniły się w przestworzach głosy, obrazy, zapachy i dymy spalanych ulic getta warszawskiego mojego dzieciństwa i dojrzewania – obozów śmierci, którymi tam oddychałam. Ich ślady w głębi mojej duszy nie są widocznie na zewnątrz. Opowiadam o nich, wracam do tych wspomnień niezliczoną ilość razy, w różnych językach, w rozmaitych krajach – grzebie w życiu które było, ich i swoim własnym wśród nich, jak w grobie duchów we mnie, imion, twarzy, obrazów i zdarzeń, które pokrywam sobą, swym istnieniem, jak żywa macewa.

Upieram się zwrócić do życia zamordowanych i wierzyć, że to jest możliwe przez pisanie i opowiadanie na przekór zimnej logice rzeczywistości... I tak od swego wyzwolenia z Neustadt Glewe, ostatniego obozu, w którym byłam zamknięta na ziemi niemieckiej do 3 maja 1945 roku.

W moją pamięć wyryły się najdrobniejsze szczegóły z każdego z tych miejsc i ludzi, z każdej godziny i chwili. Ryje w nich jak kret, szukam życia u umarłych, by ich odczuć i przekazywać pamięć o nich następującym pokoleniom, którzy nie wiedzą o ich istnieniu na tym świecie zanim zostali zglądzeni z niego doszczętnie. Pragnę stworzyć swymi wątłymi siłami most nad przepaścią Tamtej przeszłości do teraźniejszości tutaj. I zdarza mi się, że nagle odzywa się jakies echo cudowne, dowód, iż moje wysiłki nie są daremne, że życie jest pełne nieoczekiwanych niespodzianek, nie zawsze złych akurat.

Natykam się nieraz przypadkowo na utwory czy pewne osoby z Tamtego zglądzonego świata związane z moją przeszłością, włączające się dziś w teraźniejszość, jak części lamigłówki mojego pochodzenia i losów, jak odkrycia z wykopaliśk archeologicznych, spod ziemi, spod gór gruzów i zgliszczy. Dowody, że to wszystko kiedyś było, zdarzyło się, tak jak zostało opisane przeze mnie i przez wielu innych, bo trudno jest to na wet sobie samemu już realnie uzmysłowić.

Napisałam na początku swej książki „Nadzieja umiera ostatnia” i po latach dodałam trochę szczegółów we wspomnianym skrócie „Życie jako nadzieja”, między innymi: ...rodzice znaleźli pokój na Muranowskiej w kamienicy nr 7/9 u pewnej dentystki, Żydówki. W pięciopokojowym mieszkaniu gnieździły się już cztery rodziny, sypiano także w kuchni. (Losy tej rodziny z kuchni opisałam po latach w wierszu „To był tylko początek”...). Nasz dom wraz całym mieniem spalili się na Nowiniarskiej w czasie bombardowania Warszawy.

I dalszy fragment z „Nadziei”: ... chociaż sama nie głodowałam jeszcze, serce sciskało mi się na widok meki głodowej innych ludzi, moich koleżanek, Elusi i jej rodzeństwa, dzieci dentystki, u której mieszkaliśmy, sparalizowanej po szoku nerwowym, jakiego doznała w czasie bombardowania Warszawy we wrześniu 1939 roku... A pod koniec jeszcze w tej książce, w rozdziale o postrzeleniu mnie w Auschwitz przez wartownika niemieckiego w styczniu 1945 roku, wracam znów do opowieści z getta w rozmowie z sanitariuszem na rewirze:

... chciałam, aby bodaj z opowiadań poznał moją matkę, ojca, braci. Moich kolegów z getta: Pinka Zborowskiego, który cieszył się największą sympatią w grupie moich rówieśników na podwórku, a który zawsze mi dokuczał i nieraz mnie doproczadzał do placu (ojciec Pinka i wujek, Fryszberg, byli członkami komitetu domowego w naszym domu i pomagali sąsiadom, którzy nie mieli już co jeść. Ojca Pinka zastrzelili Niemcy na ulicy na początku wielkiej akcji, Pinka z matką i Fryszberga z żoną i malutkim synkiem, Jurkiem, zawlekli na Umschlagplatz, do Trebłinki); grubego i śmiesznego Mariana Kokieta (syna adwokatów), który był najlepszym uczniem w naszym komplecie; małego Sewka Zajnderosa z Nowolipia, który pisał takie słiczne wiersze (spotkałam Sewka w drodze na Majdanek, gdy nas tam zawlekli w wagonach bydleczych, po powstaniu w getcie, na początku maja 1945 roku. Został zagazowany na Majdanku.)...

Moje koleżanki, zwłaszcza Erne Zajdman i Elusie Geszychter, córka dentystki, u której mieszkaliśmy na Muranowskiej. Lubiałam przesiadywać przy łóżku sparalizowanej dr Geszychter, słuchać zabawnych historyjek z jej dzieciństwa, młodości spędzonej w Rosji i z czasów praktyki lekarskiej w Polsce.

Lubiałam przyglądać się, jak Elusia obiera miękkie, zmarznięte kartofle, kroi je cieniutko, ostrożnie, aby ich najmniej ubyło, z powagą i w skupieniu wsypuje do garnka z wodą, stawia na z trudem rozpalony piecyk (mokre drzewo było tansze i łatwiejsze do kupienia). W milczeniu podziwiałam, jak szybko i zrecznie, z jakim

zapalem i umiejetnoscia przygotowuje zasmazke do zupy z jednego dekagrama masla i szczypty maki, które co dzien kupowala w pobliskim sklepiku.

Zanim jeszcze zupa zdazyla sie zagotowac, Elusia zdejmowala z garnka pokrywe, zanurzala w wodzie lyzke i brala sobie mala zaliczke; smakowala z rozkosza ten wyczekiwany, jeden jedyny posilek w ciagu dnia; oblizywala starannie lyzke, przykrywala garnek, zeby po chwili rozpoczac na nowo degustacje. Kiedy wreszcie zupa byla gotowa, Elusia nalewala sobie i matce po talerzu; jadly laczynwie i z takim zadowoleniem, ze nieraz, patrzac na nie, nabieralam szalonego apetytu, chociaz bylam syta i w domu jadalam smaczniejsze potrawy...

Ceremonial gotowania i jedzenia nie ulegal nigdy zadnym zmianom, tylko twarze Elusi i pani Geszychterowej stawaly sie z kazdym dniem bledsze i bardziej ziemiste, a brzuchy ich wzdymaly sie od tej jalowej kartoflanki...

Niemal wszyscy zgineli w Treblince... Poszli „dobrowolnie” na Umslagplatz na poczatku wielkiej akcji latem 1942 roku, podczas której Niemcy przyrzekli „ochotnikom” do wagonów bochenek chleba i kg marmelady z brukwi... Erne Zajdman z rodzicami zatopili w bunkrze na Nalewkach w czasie likwidacji ostatecznej getta i zydowskiego powstania w kwietniu 1943 roku. O malo nie podzielilam ich losu, ale Marek (starszy brat) nie pozwolil mi tego wieczoru zostac u Erny, czego tak bardzo pragnelyśmy obie...

Przed kilkoma dniami zadzwonil telefon w domu i w sluchawce odezwal sie glos nieznaney kobiety: „Pani mnie nie zna, ale ja znalazlam wlasnie w internecie imiona rodziny Geszychter podane przez Pania... Jestem córka Zygmunta Geszychtera... Moja siostra dotarla do tego opowiadania w internecie niespodziewanie... Czy moglaby Pani opowiedziec cos wiecej, bo my nie wiemy nic”...

Dreszcz wstrzasnal mna. Nie wierzylam, w pierwszej chwili tez nie okazalam swego poruszenia. Powiedzialam tylko, ze znalazlam z bliska te rodzine, wiem o niej wiele i oczywiscie, moze opowiedziec. Z miejsca dowiedzialam sie, iz ojciec im niczego nie opowiadal o swej przeszlosci i o rodzinie, takze nie zdazyl – zmarl w wieku 48 lat, gdy obie córki byly jeszcze male. Matka również nie wiedziala o niczym, nie znalazla rodziny meza i nie mogla niczego przekazac dzieciom.

A ja tak czesto slyszalam wtedy o najstarszym synie Geszychterowej, Zygmuncie! W atakach kurczów i bólu zwykla wolac pieszczotliwie „Zygmusiu!”, jakby w dzwieku jego imienia znajdowala pocieszenie i ulge jakas...

Obie siostry zjawily sie nazajutrz po tej rozmowie telefonicznej w moim domu z pieknym bukietem ciemno-czerwonych róż. Jakby nagle zmartwychwstala rodzina wraz z wszystkim stamtad! Dziecinstwo w getcie warszawskim na Muranowskiej,

moja rodzina, sasiadzi z tej kamienicy, koledzy i kolezanki, towarzysze zabaw na podwórku i marzen o swiecie bez Niemców, glodu, strachu, grasujacej smierci...

Przed oczyma znów dzieci dentystki – najstarsza, piekna Bela, Tadek, technik dentystyczny, Elusia, moja przyjaciółka; dlugie, wspólnie spedzane wieczory podczas obowiazujacej od okupacji godziny policyjnej, rozmowy, komentarze na temat zdarzen politycznych, naszej pogarszajacej sie z dnia na dzien sytuacji, poglosek o komorach gazowych, w których Niemcy morduja wszystkich Zydów w Chelmnie, Belzcu, Auschwitz – wspólne pisanie i czytanie wierszy pelnych goryczy, krytyki wartosci humanistycznych, które zdradzaly - tesknoty do jasnieszych dni, nadziei, mozliwosci zycia nie ziszczonych...

Opadly mnie wspomnienia, obrazy bliskich, atmosfera grozy i smierci wokół nas w getcie, poprzedzajaca lapaniki do wagonów wywozacych wszystkich Zydów do obozów zaglady... Elusia i jej matka, z którymi spedzilam wtedy tyle dni, miesiecy i godzin w ciagu trzech lat! Tadek, jej starszy brat i jego milutka dziewczyna, Pepa; Bela i jej powazny zawsze narzeczony (widze go przed oczyma, ale juz nie pamietam jego imienia...), tez lekarz dentysta...

Oni sa babka i wujostwem moich, jakby z nieba spadlych gosci, Cipi i Alizy-Elusi, córek Zygmunta, któremu udalo sie wyrwac z niemieckich szponów i uratowac sie w Rosji, na Syberii. Z poczatku docieraly jeszcze od niego nieliczne listy stamtad do getta, pamietam je takze.

Wiele slyszalam od Fani Geszychter o jej mezu, Izy dorze Geszychter, tez lekarzu dentyscie, który mial „szczęście” umrzec przed wojna i koszmarami Shoa... Uczylam sie z opowiesci Geszychterowej o ludziach i zyciu. Czesto czesalam jej sklebione od ciaglego lezenia w łózku włosy, ku jej wielkiemu zadowoleniu.

Wielokrotnie – gdy my jeszcze mielismy, co jesc dzieki kontaktom sprzed wojny ojca z pewnym Polakiem, dzielilam sie z Geszychterowa i Elusia przydzielona mi przez matke porcja jedzenia. Sasiadzi, wsród nich moja matka, których sytuacja byla nieco lepsza jeszcze, dawali po kolei raz w tygodniu obiad, przykutej do łózka dentystce Geszychterowej. Ona i jej rodzina nie mialy juz z czego zyc, nikt wszak nie leczyl sobie zebów w getcie, ani nie placil im komornego za wynajmowane u nich pokoje.

Cipi, starsza wnuczka Geszychterowej jest bardzo do niej podobna. O malo nie wybuchlam placzem na jej widok. Nagle jakbym ujrzala je obie jednoczesnie w wyobrazni, bylam Tam i tutaj w tej samej chwili, z trudem dzwigajaca siebie z tym ciezarem, którego nie da sie dokladnie komukolwiek przekazac, mimo checi z mojej strony i wielkiego pragnienia wiedzy o nieznaney rodzinie, zdumionych sióstr.

Jak opowiedziec to co we mnie? To, co bylo wspaniale przed Holocaustem i tak straszne na koncu?! Droga cierpien do tego konca w getcie, w Treblince?! Jaka ze

mnie zwiestniczka?! W jednej chwili zwracam im jakgdyby ich najdroższych swym bezpośrednim świadectwem, i natychmiast odbieram im wszystko w zakonczeniu!

Cipi i Aliza nie miały nawet pojecia, ze ich ojciec posiadł brata i dwie siostry. Nic nie wiedziały o istnieniu Beli, Tadka, Elusi, których ja widywałam codziennie w ciągu tych lat w getcie, rosłam wśród nich i wchłaniałam w siebie ich uśmiechy, łzy, wyrazy radości czy gniewu, depresje bezradności wobec wyroku totalnej, nieuniknionej zagłady.

Nie wiedziałam od czego zacząć, o czym najpierw opowiedzieć, jak opowiedzieć o tym najgorszym, żeby boleło mniej, kiedy, na jakim etapie tego spotkania i naszej niesamowitej rozmowy zrobić to?

- A co stało się w końcu ze sparalizowana Doktor Geszychter? – powtarzają pytanie.

Muszę odpowiedzieć, nie ma co zwlekać. Nie można wymknąć się od prawdy, od strasznych faktów, choć staram się opisać tych ludzi z złej okolicy tamtych lat, od początku mojej znajomości z nimi w Warszawie na Muranowskiej. Od mojego własnego początku w świecie wojny i Holocaustu, gdy jeszcze nie wiedzieliśmy, co nam gotuje niedaleka przyszłość.

A kiedy już odgadliśmy to ze sposobu, jakim łapali i zganiali na Umschlagplatz i pchali do wagonów bydłecznych – niejedni woleli umrzeć przedtem wraz z obojętnymi chorobami bliskimi, małymi dziećmi, przez polkniecie popularnej w tym okresie w getcie pigułki cyjanidu, która natychmiast wyzwała z mak. I tak umarła w swym łóżku Dr Fania Geszychter. Słowa te z trudem przeszły mi przez usta. Łzy paliły oczy wszystkich nas.



Świat tamten i obecny! Kilka wzruszających niezmiernie godzin w moim domu, łzy wspólne i przedziwna bliskość między nami, a jeszcze przed kilkoma dniami nie wiedzieliśmy o istnieniu jedni o drugich.

Otrzymałam od nich piękne zdjęcie Fani Geszychter z jej lat młodości. I znów mogłam spojrzeć w jej twarz nie tylko w zakamarkach swej pamięci. Trudno mi było uwierzyć, że ta rzeczywistość nie jest snem, że ta przeszłość stamtąd i teraźniejszość tutaj łączy się w jeden prawdziwy fakt.

I ja, która zwracam wnuczkom Geszychterowej ich przeszłość, drogą im wiadomość o przynależności rodzinnej – a one obdarzające mnie świadomością kontynuacji życia, sensem pamiętania, opowiadania, pisania. Przeswiadczeniem, że wszystko w życiu jest możliwe.

Pozegnaliśmy się nocnym, długotrwałym uściskiem i pocałunkami, które wyraziły więcej od słów. Ale nie mogę wrócić do siebie po tym spotkaniu, oderwać się od intensywnych wspomnień, od tej przeszłości, która nie chce umrzeć i wstaje wciąż na nowo do życia różnymi drogami.